

Analbeta z wyższym wykształceniem



Ponieważ wykształcenie i wiedza stały się dobrami powszechnymi, ich wartość zmalała. Tak zresztą dzieje się z każdym dobrem, które trafiło pod strzechy. Jeszcze nie tak całkiem dawno sztuka pisania i czytania określała status społeczny i decydowała o jakości życia. Stawianie dziwnych znaków na pergaminie lub kózłej skórze czyniło ze skrybów nieomal magów, dysponujących wiedzą ezoteryczną. Do dziś zmieniły się dwie rzeczy: wszyscy staliśmy się magami pisanego słowa i stawiamy je nie na pergaminie ani nawet na papierze, ale, tak jak ja to robię w tym momencie, generujemy je na szklanym ekranie.

Jest jeszcze trzecia różnica. Niegdyś magowie słowa pisanego dążyli do doskonałości w tej materii, zgłębiając sztukę tworzenia znaczeń za pomocą znaków graficznych. Pisarze, tak jak Homer w starożytnej Grecji, uważani byli za bogów. W Egipcie faraonów pisarze stanowili osobną kastę społeczną, a ich umiejętności stanowiły dla władcy nieocenioną wprost wartość.

Zdiagnozujmy w tym kontekście obecną sytuację. Jest ona z gruntu paradoksalna, ponieważ powszechność wcale nie wyklucza analfabetyzmu. Pisanie sms-ów nie jest sztuką posługiwania się słowem, ale pewną umiejętnością tworzenia znaków. Wypowiedź skonstruowana za pomocą słowa pisanego powinna mieć konkretny sens, zbudowany na fundamencie znaczeń poszczególnych słów oraz ich połączeń.

Jak wielka jest skala niekompetencji językowej świadczy fakt, że rektorzy wyższych uczelni (w tym również uczelni technicznych) postulują, by przy naborze brać pod uwagę wynik egzaminu maturalnego z języka polskiego, ponieważ ich studenci nie są w stanie skleić pięciominutowej spójnej wypowiedzi. Wypowiedzi ustnej! Jaki musi być zatem poziom prac pisemnych? Gdyby ten postulat został zrealizowany, wzrosłaby ranga języka polskiego w szkole. Na początek – dobre i to.

Coś szalenie niedobrego stało się z humanistyką w przeciągu ok. dziesięciu lat. Zerwany został, i to w sposób radykalny, kod kulturowy gwarantujący przez całe stulecia aplikację uniwersalnych wartości, składników tradycji i światopoglądu. I wcale nie mam na myśli źródeł antycznych – filozofii, literatury i prawa, ale kod ten nie obejmuje już najbliższej tradycji, na przykład historii i literatury dziewiętnastego wieku. Moi uczniowie, inteligentni i myślący, kiedy przychodzi im czytać *Dziady* Mickiewicza czy *Wesele* Wyspiańskiego stają przed murem niezrozumienia. Jeden z nich, który przebrnął przez dramat Mickiewicza, stwierdził, że była to tortura na granicy samookaleczenia. Źródłem owej tortury jest fakt, iż nie istnieje już element tzw. przedrozumienia tekstu, ale również stąd, że nawet niewielka metaforyzacja języka staje się barierą nie do pokonania. A cóż powiedzieć o bogactwie i złożoności języka literatury romantycznej?

Ja nie obciążam za ten stan rzeczy nastolatków. Oni nie są ani lepsi, ani gorsi; ani mądrzejsi, ani głupszy niż pokolenia wcześniejsze. Są bardziej zagubieni, bardziej osamotnieni, nieradzący sobie ze stresem.

To raczej my, dorośli, a przede wszystkim nauczyciele, jesteśmy za to odpowiedzialni, ponieważ godzimy się na absurdy biurokracji, wypełniamy tony nikomu do niczego niepotrzebnych papierów (chyba tylko po to, żeby usprawiedliwić istnienie armii urzędników, których cała praca polega na kontroli dokumentacji), natomiast czasu dla naszych uczniów i wychowanków mamy coraz mniej. Godzimy się z faktem, że liczba godzin języka polskiego jest dokładnie taka sama jak liczba godzin religii. Historia jest powoli w ogóle eliminowana.

Przeprowadziłem ostatnio pewien eksperyment. Pojawia się coraz więcej portali pisarskich, więc podsyłam jeden wiersz, drugi wiersz, jakiś esej krytycznoliteracki. Pani redaktor pisze mi w mailu, że nie wydrukują, bo błędy ortograficzne i wylicza jakie. Ja uprzejmie odpowiadam, że „nie” w imiesłowami przymiotnikowymi piszemy razem. Biedactwo sprawdziło prawdopodobnie w słowniku i odpisało, że istotnie mam rację i że najmocniej przeprasza. W tekstach poetyckich zabrakło jej z kolei interpunkcji. Biedactwo, prawdopodobnie po polonistyce, nie wiedziało o istnieniu wierszy białych. I tak dalej, i tym podobnie. Przykłady można by mnożyć. A ja przezornie nic nie wspominam, że moje teksty są w podręcznikach do języka polskiego.

I nagle pojawia się refleksja. Może to ja już jestem nie na czasie? Może takie portale to swoiste *signum temporis*? Ja jednak, w tym wypadku, pozostanę w swoim świecie – magicznej sztuki słowa i czarów, które wyzwala.

Autor: Jan Stasica

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl